

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (63)

(fragmenty)



Hermann Hesse (właśnie zachwycam się jego aksamitnym stylem) był większym radykałem niż ja, gdy postulował totalne lekceważenie rzeczywistości i zastępowanie jej marzeniem: „Rzeczywistość to jest to, co absolutnie nie może przynieść zadowolenia, czego absolutnie nie wolno ubóstwiać i czcić, ona jest przypadkiem, jest niezależna do prawdziwego życia. I w żaden inny sposób nie da się jej zmienić – tej parszywej, przynoszącej wieczne rozczarowania i monotonnej rzeczywistości – jak tylko jej zaprzeczając, dając jej do zrozumienia, że jesteśmy silniejsi (...). Przyznaję, że moje własne życie bardzo często wydaje mi się bajką, często widzę i odbieram świat zewnętrzny w głębokim związku i współbrzmieniu z moim wnętrzem i zdolność taką muszę nazwać magią” (*Dzieciństwo czarodzieja*, przeł. Lada Jurasz-Dudzik i Wojciech Dudzik).

Mnie jako poecie rzeczywistość przypomina pasy startowe, z których wyruszają w przestrzeń wszystkie samoloty wyobraźni. Broń Boże, nie lekceważę ich. Wiem, że powinny być wyraźnie i precyzyjnie opisane, bo zdaje sobie sprawę, jak bardzo od nich uzależniony bywa start i przyszły lot wyobraźni.

Ale dezynwoltura, z jaką Hesse pisze o magii pisarskiej, jest doprawdy zachwycająca.

W Borzęcinie lubię przystawać z rowerem przed pewnym piętrowym domem, na którego dziedzińcu tłoczy się około 50 aut różnej marki, przeważnie nadających się na złomowisko. Właściciela tych aut uważa się za faceta bez piątej kleпки, czemu trudno się dziwić, skoro od lat skupuje stare przechodzone bryki, placąc za każdą po kilkaset złotych, mimo że sam nie posiada prawa jazdy, a więc nie ma z owych zakupionych aut żadnego praktycznego pożytku.

Dlaczego więc je skupuje? Nie wiem. I lu-

dzie nie wiedzą, ale prawdopodobnie chodzi o to, że dzięki temu chce wzbudzić zazdrość u sąsiadów albo pokazać, jaki jest ważny. Może nie ma piątej kleпки, ale przecież dobrze wie, że dzisiaj w świecie, jak i w jego wsi, liczą się przede wszystkim ci, którzy dużo posiadają.

W majowe niedzielne południe zluszczoney lakier na samochodach lśni w słońcu, a Jan przechadza się pomiędzy swoimi czterokołowymi wierzchowcami dumny jak paw, wypinając pierś do przodu. Mimo to żadna panna go nie chce, więc chyba już zestarzeje się do cna jako stary kawaler.

Dziś, gdy przystanęłam z rowerem przed tym żywym muzeum próżności, oślina mnie myśl, że przecież Jan nie czyni nic innego, tylko kopiuje wzory od współczesnych kolekcjonerów martwej natury. Przecież ludzie, skądinąd ze wszech miar rozsądni i praktyczni, też, gdy stają się bogaci, wpadają w amok kupowania i gromadzenia rzeczy, przedmiotów, które im często do niczego nie służą. Chcą koniecznie mieć „dużo, dużo”. Chcą „jeszcze i jeszcze!” gromadzić martwe rzeczy jak Jan auta. Naśladują jedni drugich w tym gromadzeniu jak największej ilości przedmiotów, rzeczy, pieniędzy... Tak, jakby nie wiedzieli, że wystarczyłaby im do szczęścia ćwiartka tego, co posiadają. Zapominają, że:

Cóż z tego świata można z sobą zabrać
Oprócz duszy
Jeśli sieją przypadkiem jeszcze ma?

Ryszard Kapuściński w swoich *Lapidariach* zauważa kapitalnie:

„Na tej samej planecie żyją dwaj ludzie – jakże różni.

Jeden z nich to człowiek, który nic nie ma. Spotkamy go w górach w Azji, w buszu afrykańskim, wysoko w Andach albo na gorącej pustyni Gobi. Idzie, kij w rękę, łyk wody w daktylowym naczyniu. Nie ma grosza, nie wie, kiedy jadł, nie wiadomo, czy gdzieś ma dach nad głową (...).

Drugi człowiek to człowiek zwielokrotniony, rozgałęziony, uginający się pod ciężarem rzeczy, które są jego niezbywalną częścią. Jego przedłużeniem jest komputer włączony do sieci Internetu. Musi mieć lodówkę, aparat klimatyzacyjny, filtr do czystej wody.

Musi łykać dziesiątki pigułek. W kieszeni ma pełno kluczy – do samochodu, do sejfów, do biurka, do kasy (...).

Ja z uwagi na przynależność do tego a nie innego kręgu cywilizacyjnego... choć dużo rzeczy nie nagromadziłem, bo jestem prawie abnegatem, to jednak coś mam, więc czasami boję się o to, co mam, i mogę sobie wyobrazić, jak boją się o to, co mają, ci, którzy rzeczywiście dużo posiadają. Na pewno codziennie zjadają ich lęki poranne, skoro nawet mnie, małego posiadacza rzeczy, też od czasu do czasu dopadają...

...Na przykład przedwczoraj wpuściłem do mieszkania w Krakowie dwu potężnych facetów w uniformach kominiarzy. Wpu-

ściłem ich z duszą na ramieniu, zważywszy na niedawne napady w blokach na staruszki. Jeden z nich miał w ręce obciążki, na tego szczególnie zwracałem uwagę.

Przyszli, jak mówili, żeby zbadać szczelność przewodów kominowych. Z tajoną trwogą patrzyłem, jak badają szczelność, lecz równocześnie trzymałem ręką klamkę, żeby na wypadek, gdyby mnie któryś z nich walnął obciążkami w głowę – zdążyć jeszcze otworzyć drzwi na korytarz i krzyknąć: „ludzie, pomocy, ratunku!”.

Kominiarze, wypełniający swoje obowiązki, wydawali się też nieco zażenowani swoją rolą, bo zdawali sobie sprawę, że gdy pukają do mieszkań, właściciele najpierw obserwują ich jakiś czas przez judasza i zastanawiają się: wpuścić – nie wpuścić? Żywcem scena z bajki o Jasiu i Małgosi, wpuszczających wilka przebranego za babcie.

Kominiarze też chyba znają tę bajkę.

Wykonują swoją powinność szybko, każą się podpisać (chwila grozy, bo ręce mam zajęte), po czym szybko znikają za drzwiami, udowadniając, że są prawdziwymi kominiarzami.

I pomyśleć, że jeszcze niedawno człowiek czuł się szczęśliwy, gdy przechodzili kominiarze, ba, trzymał się za guzik, a nie za klamkę własnych drzwi do mieszkania...

Postańcy nocy

Jeszcze *a propos* obserwacji Kapuścińskiego, który zderza ze sobą cywilizowanego właściciela wielu rzeczy i nomadę z kijem na ramieniu...

...Do autobusu nr 154 wsiadają trzej „wczorajsi” – nieustraszeni i nieujarzmieni z niewidzialnymi kijami nomadów na ramieniu, które ja tylko (po lekturze Kapuścińskiego) dostrzegam. Pierwszy od drzwi pieje jak kogut: „bilety do kontroli!” i jest ukontentowany, że zrobił wrażenie na pasażerach. Niedzielnny poranek. Paniusie wyfloczone, uperfumowane. Od meneli zaś jedzie alkoholowym odorem i niepospolitym smrodem. Wyglądają jak osobnicy z innej planety „Underground”. Tacy, co to spadli z księżycy, urwali się ze smyczy zasad i konwencji, a raczej nigdy nie dali się na nią złapać. Wracają z sobotniej popijawy; ciągnie się za nimi piwniczny chłód innych praw „na opak”, immoralności, jakiejś nieokiełznanej wolności, szelmowskiej fantazji, a przede wszystkim absolutnej abnegacji.

Ten który piał – mały, krępy, z brzuchem wywalonym na wierzch, jakby był nastolatka, z rękami ucieranymi błotem czy węglem, nieomyty, nieuczesany, jest ponadto poetą. Co jakiś czas wykrzykuje rymowane hasła, na które jego koledzy reagują śmiechem. Na przykład: „Mam czarne ręce jak w piosence!”. Albo: „Zanim się urodziłem, już wódkę piłem!”. Albo: „Hurra hurra – jedziemy po górach!”.

cdn.